

K. Schönherr.

# Ostatni obiad.

Dni powoli stawały się znowu dłuższe, a promienie słońca stawały się z każdym dniem bardziej palące. Rudy Jorg siedział nad wieczorem przy obiedzie... w celi sądu okręgowego...

Ta mizerna, a jednak pełna ponurego znaczenia nora kilka godzin temu była widownią dziwnej sceny. Kilku panów w czarnych kostymach przyszło tutaj, i wypowiedziało głośno i uroczysto, że sprawiedliwości powinno się stać zadość.

— A więc, jutro! Punktualnie o siódmej godzinie rano trzeba się zbierać... wszystko jedno, czy będzie pogoda czy deszcz!

Jorg powinien być gotów.

Naostatku Jorg zażądał smażonego karpia i porcję smażonych kartofli z dużą ilością cebuli, ponieważ był to właśnie piątek. Potem miał on zamiar poprosić o kilka raków. Dlaczego? Jedna i druga para niższych skorupiaków nie miała pożegnać się z życiem przedtem, zanim przyjdzie kolej na niego, wysoko rozwiniętego i złożone zorganizowanego Jorga!

Mój Boże! Właściwie, nie taką już znowu straszną zbrodnię on popełnił. Rzeczywiście, był on żonaty z tą babą; potem przyszła mu ochota pozbyć się jej, ponieważ druga podobiała mu się więcej. W mieście w takich wypadkach umieją znaleźć inne wyjście, ale na wsi „fundamenty moralne” są mocniejsze: tu małżeństwa — dobre czy złe — rozrywa tylko śmierć. I oto, w takich okolicznościach, Jorg w prostocie ducha, nieco „pomógł” losowi. I to wszystko.

Bogu tylko wiadomo, jakim sposobem sąd przyszedł do przekonania, że „najlepszy kurs leczenia” dla Jorga, to „pozbawienie powietrza”.

Obróńca nic temu nie winien, bezwarunkowo. Ten, jak to mówią, bronił sprawę Jorga zupełnie jak swojej własnej. Z najbardziej ukrytych i tajemnych zakątków duszy wydobył on uniewinniające momenty psychologiczne i stworzył z nich wstrząsający zaiste obraz okropnej walki duchowej, przeżytej przez oskarżonego przed popełnieniem zbrodni.

Jorg siedział z początku ponury i przygnębiony, ale w miarę tego jak rozwijała się mowa obrońcy, ze zdumieniem podnosił głowę coraz wyżej i wyżej, i, w końcu, obrzucił całą salę wzrokiem dumnym, pełnym niewymownej pogardy. Kto ze wszystkich tu obecnych mógłby się pochłubić tak bogactwem i złożonością życia duchowego?

Lecz gdy tylko obrońca zakończył, natychmiast z sąsiedniego stolika podniósł się znowu ten obrzydliwiec. Już wcześniej zwrócił on na siebie uwagę Jorga i w najnieprzyjemniejszy sposób dotknął go swoimi dyabelskimi uśmiechami i pokręcaniem głową. Jorgowi już wtedy wydało się dziwnym, że przewodniczący nie śpieszy usunąć z sali tego jawnego podżegacza i naruszciciela spokoju publicznego. Teraz on jeszcze raz wziął się do oskarżonego, tylko na kwadrans, jak powiedział, i nie przeszło jeszcze dziesięciu minut, jak na całym Jorgu nie zostało jednej suchej nitki. Wtedy głowa jego poczęła się opuszczać coraz niżej i niżej; i, w końcu,

poczuł on do siebie samego taki wstępn, że plunął z oburzeniem i obrzydzeniem, i zamruczał:

— A niech go, a to dyabeł! Powieście go! Gałgan ten zasłużył w zupełności na postronok.

...A więc tak, jutro punktualnie o siódmej rano.

W tej chwili właśnie przyszedł do Jorga z wizytą kat i... naturalnie zastał go w domu.

Jorg siedział właśnie przy swoim ostatnim obiedzie i z krwiożerczą przyjemnością kończył karpia. Kat chciał zawiązać z nim rozmowę, ale Jorg nie miał ochoty.

— Zostaw mnie pan w spokoju — wykrzyknął. — Pan dla mnie jesteś niczem!

Kat, prawdopodobnie, znalazł by coś w odpowiedzi na tę uwagę, i coś dostatecznie przekonującego; ale nie zawsze ma się ochotę, nieprawdaż? Przyczepiać się do każdej drobnostki? Więc też kat milczał i w zakłopotaniu przebiegał palcami.

Nagle zbrodniarz mocno zakaszał i począł się dławić.

Kat w niepokoju skoczył ze swego miejsca.

— Co panu jest? Mówże pan! Czy nie udławił się pan czasem ością? W samej rzeczy? Na Boga!

Kat uderzał dławiącego się Jorga po plecach i udzielał mu rad.

— Wsadź pan palec w gardło! Może ość wyjdzie z powrotem. Albo połknij pan kawałek chleba, może to popchnie ją dalej.

A jednocześnie narzekał na wszystkie tony:

— A to niespodzianka! Ależ Boże mój i Panie! I przyjdzie też komu do głowy jeść karpia w taki dzień. Pan zwaryował chyba!

Wkrótce zjawił się lekarz więzienny.

— Co? Udławił się ością? Wspaniale!

Następnie odsunął mankiety nieco w tył i obmacał przelyk, prowadząc palcem na dół i w górę, w prawo i w lewo.

— No, gdzie ona, ta ość przebrzydła?

Przy pomocy zwierciadeł odkrył ją nareszcie, w fałdzie błony śluzowej, niedaleko od początku tchawicy.

— Wybornie! Teraz proszę mi tu podać instrument do wydobywania ości.

Instrument, była to pałeczka, z małą gąbeczką na końcu. Przy wprowadzeniu instrumentu do gardła, ość powinna, zdaje się, uwieznąć w gąbeczce.

Czasami tak właśnie i bywa, ale częściej mała gąbeczka sama zsuwa się przy tych próbach z pałeczki i układa się najspokojniej obok ości. W większości wypadków gąbeczkę bez wielkiego trudu wydostaje się z powrotem.

Tymczasem do celi wpadł błąd ze wzruszenia naczelnik więzienia.

— Panie doktorze! Co ja słyszę? Zbrodniarz udławił się ością? Na Boga, ość... ość rybia!...

— Zaraz! Zaraz! Właśnie wprowadzam w gardło instrument do wydobywania ości.

— Tak! Znaczący...

Nastąpiła chwila największego napięcia. Nareszcie instrument ukazał się znowu na światło dzienne.

— A więc, panie doktorze! Ość... gdzież ona, ta ość?

Doktor uważnie obejrzał instrument, a następnie wyrzekł, wskazując z zimną krwią na szyję Jorga:

— Tam wewnątrz!

— Na wszystkie świętości — jęknął naczelnik

wiezienia — moje położenie... przecież to okropne... ość... rybia ość...

Doktor był niewzruszony. Wprowadzał do gardła instrument i wyciągał go, wyciągał i znowu zapuszczał.

Na ten czas nadszedł i prezes sądu. Szanownego starca podnieśli z łóżka. Potem nadjechali wiceprezes i prokurator. Obaj w najwyższym podnieceniu.

— Ładna historia! Panie doktorze... ość... rybia ość... przeklęta rybia ość... — powtarzali naprzemiennie.

— Trochę cierpliwości, panowie! Ość uwieźla w takim miejscu, do którego trochę trudniej się dostać. Zaraz, ja jeszcze raz wprowadzę instrument.

— No... a więc...

Ledwie zdążył doktor wyciągnąć instrument z gardła, gdy na niego znowu rzucono się ze wszystkich stron.

— Panie doktorze, ość... ość... gdzież ona jest, ta przeklęta ość?

Doktor zbadał instrument i z zadziwiającą zimną krwią znowu wskazał na szyję Jorga.

— Tam, wewnątrz!

Naczelnik więzienia jęknął; prezes otarł zimny pot z czoła; prokurator, z brwiami podniesionymi do góry, patrzył badawczo na instrument. Widocznie jego bystre oko odkryło w nim coś niesłychanego.

— Na tej pałeczce była dopiero co mała gąbeczka?

— Także tam, wewnątrz! — ponuro uśmiechnął się doktor i wyciągnął z przelyku Jorga przynajmniej tę gąbeczkę. Swój instrument znalazł on w pełności!

Błona śluzowa w gardle Jorga zaczęła opuchac. Wzburzenie ogólne rosło.

— Tu niema co długo się namyslać! Trzeba wezwać specjalistę! Prędzej! Jak można najprędzej. Cokolwiekby to miało kosztować, wszystko jedno.

Zjawił się specjalista, ciągnąc za sobą olbrzymi worek z instrumentami.

— Panie docencie... Jesteśmy w rozpacz... ość...

Naokoło specjalisty od razu utworzyła się atmosfera pełnej pewności i zaufania.

— Ależ, łaskawi panowie! — pocieszał on wszystkich strony. — Uspokójcie się, proszę, nie martw się! Wszystko skończy się wybornie! Wszak ja tu jestem! Jestem przecież pierwszym specjalistą w dziedzinie chorób gardła, przelyku itd. Jużem tu!

Z głębin olbrzymiego worka zostały wyciągnię instrumenta i rozłożone w porządku na stole. Specjalista miał zupełnie inne sondy, niż jego kolega, lekarz więzienny — zupełnie innej konstrukcji zwierciadło, i, co najgłówniejsze, daleko bardziej ulepszone instrument do wydobywania ości. Jednocześnie i rękoczynny jego były daleko bardziej subtelne i złożone. Prawda, i on nie wydostał ości z puchrej wciąż błony śluzowej, ale ta odwaga, z którą pozostawiał on ość wewnątrz gardła w ciągu półtorej godziny przy zrozpaczonych okrzykach wszystkich członków starszyny więziennej, sama przez się była już dowodem wysokiej sztuki lekarskiej i działała nieodparcie.

W końcu, nieznośna błona śluzowa w gardle Jorga zupełnie zamknęła się nad ością i ukryła ją w ten sposób przed wszelkimi spostrzeżeniami.

— Kompres zimny, prędzej!

Błona śluzowa Jorga puchła, oddech wydobywał się z trudnością. Na zegarze wybiła północ, potem godzina pierwsza.



## Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.